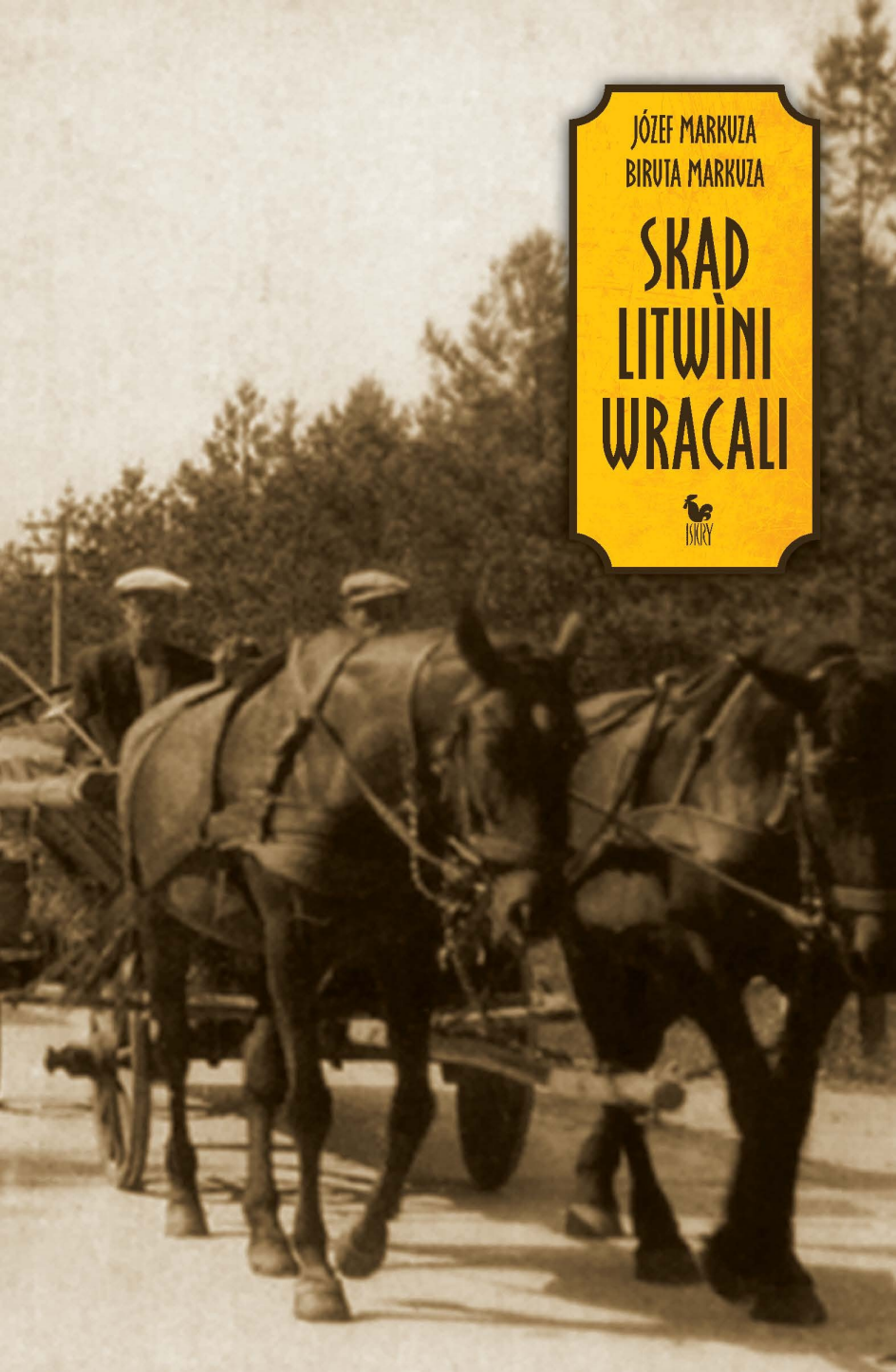


JÓZEF MARKUZA
BIRUTA MARKUZA

SKĄD LITWINI WRACALI



SKĄD LITWINI
WRACALI

JÓZEF MARKUZA
BIRUTA MARKUZA

SKĄD LITWINI WRACALI

CZEŚĆ NAPISANA
PRZEZ JÓZEFA MARKUZĘ
Z JĘZYKA LITEWSKIEGO
TŁUMACZYŁA BIRUTA MARKUZA



Opracowanie graficzne: Janusz Barecki
Korekta: Dobrosława Pańkowska

Ilustracje pochodzą ze zbiorów rodziny Markuzów

Copyright © by Biruta Markuza-Białostocka, Warszawa 2013

Copyright © by Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2013

ISBN 978-83-244-0218-2

Wydawnictwo Iskry Sp. z o.o.
ul. Smolna 11
00-375 Warszawa
tel./faks 22 827-94-15
e-mail: iskry@iskry.com.pl
[www: iskry.com.pl](http://www.iskry.com.pl)

Moim siostrzeńcom,
Juracie i Olgierdowi

BIRUTA MARKUZA

WSTĘP

Przez większą część mego życia mieszkałam z ojcem, po prostu byliśmy obok siebie. Od wczesnego dzieciństwa, poprzez peregrynacje wojenne i powojenne, aż do skończenia liceum byliśmy razem. Przez parę lat mieszkaliśmy w jednym pokoju. Koleżanki gimnazjalne zazdrościły mi okropnie ojca. Każda z nich chciałaby mieć takiego, jak w swoich książkach opisali różni pisarze. Ja tak nie myślałam, ponieważ znałam cenę tych opisywanych układów. Prawda, że oduczyły mnie one małostkowości i „babskości”, byłam raczej chłopięca, kochałam sport, szachy, nie miałam skłon-

ności do kupowania sobie ciuchów, kosmetyków, czyli tego wszystkiego, o czym marzą dorastające dziewczyny i prawdziwe kobiety. Ojciec przyzwyczaił mnie do punktualności, dotrzymywania danych obietnic, radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Teraz to wiem i doceniam, ale gdy byłam nastolatką, miałam ojcu tę pruską szkołę za złe. Do tego musiałam ojcu i sobie gotować (gdy mieszkaliśmy sami), dbać o jego bieliznę i skarpety (zawsze), utrzymywać w czystości kuchnię, pokój i łazienkę. Ojciec nie był gadatliwy, ale chętnie opowiadał mi, jak to „drzewiej bywało” – porównywał swoje przaśne dzieciństwo i młodość z obecnymi warunkami życia. Czasem na moją prośbę opowiadał o „lepszych” przedwojennych czasach, kiedy jeździł co tydzień do Królewca, wszedł do ścisłej czołówki w tenisie, brał udział w regatach, tańczył na balach w Kurhausie, gdzie poznał moją mamę. W przeciwieństwie do tych przaśnych, te drugie opowiadania ojca lubiłam. Nie miał najmniejszych skłonności do upiększania czy konfabulowania, o czym się przekonałam wielokrotnie, porównując relacje ojca ze świadectwami innych osób. Długo miałam wątpliwości co do je-

go talentu tenisowego. Sądziłam, że poziom tego sportu był tak niski na Litwie, że nietrudno było zostać gwiazdą. Lecz pewnego lata wyjechaliśmy na urlop do Rumunii. Ojciec, namówiony przez ojczyma mojego męża, wziął ze sobą rakietę i inne akcesoria tenisowe, aby pograć na kortach Mamai. Już po pierwszym spotkaniu ojczym męża wyraził bardzo dobrą opinię o umiejętnościach tenisowych ojca i zaczął go zupełnie inaczej traktować. Panowie, obaj po sześćdziesiątce, umawiali się codziennie z Rumunami znacznie młodszymi i naprawdę dobrze grającymi. Z rozbawieniem obserwowałam też poczynania ojca na parkiecie. Dobrze tańczył i wcale nie unikał nowych tańców. Dwaj starsi panowie robili konkię jak się patrzy.

Pod koniec życia, kilka lat przed śmiercią ojca, zamieszkaliśmy znów razem. Odeszła druga żona taty, Bronka, więc żeby jakoś ukoić jego ból, kupiliśmy mały dom z ogrodem, o czym zawsze marzył. Te ostatnie cztery lata miał takie, jakie sobie kiedyś zaplanował. Rano w pogodne dni wychodził od razu do ogrodu, szedł na małe zakupy, potem czytał gazety, pisał wspomnienia – co do nich byłam nieprześlągana i nie pozwalałam tego zaniedbywać. Po

południu spacerował w pobliskich laskach i chętnie grywał w brydża, jeżeli udało się zorganizować czwórkę. Odszedł w przeddzień planowanej ze mną wyprawy do litewskiego sanatorium.

Orientacja w geografii litewskich miejscowości:

Kłajpeda – miasto portowe nad Morzem Bałtyckim.

Kowno – od 1920 roku tymczasowa stolica Litwy po zajęciu przez Polskę Wilna.

Lygumai – miasteczko leżące osiem kilometrów na wschód od Sereików.

Plateliai – miejscowość leżąca nad największym jeziorem Litwy o tej samej nazwie, w okolicy Kłajpedy.

Poługa – miasteczko kurort nad Morzem Bałtyckim, dwadzieścia kilometrów na północ od Kłajpedy.

Sereikiai – wieś leżąca dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Szawli.

Słowiki – mała miejscowość, około dwudziestu kilometrów od miasteczka Szakiai, w rejonie Jurbarkas, leżącego nad środkowym biegiem Niemna.

Szawle (Šiauliai) – miasto powiatowe graniczące z powiatem Akmene.

JÓZEF MARKUZA

**TRUDNY START.
EDUKACJA**

Pierwszym źródłem mojej nauki była szkółka domowa w domu rodzinnym. Mój ojciec, z zawodu cieśla, podczas zimowych miesięcy prowadził zupełnie nielegalną szkółkę języka litewskiego. Legalne szkoły podstawowe były dostępne właściwie dla każdego, ale były to szkoły rosyjskie, a więc nielubiane, i w miarę możliwości, pod jakimkolwiek pretekstem, dzieci nie były tam posyłane.

Siedzieliśmy wokół dużego stołu w izbie, gdzie pod jednym oknem stał warsztat stolarski ojca, przy którym wykonywał różne drobne przedmioty drewniane potrzebne w gospodarstwie domowym:

wiaderka, cebrzyki, balie, trepy, łyżki itp. Przy drugim oknie stał drugi długi stół z tabliczkami do pisania, kilkoma książkami do nabożeństwa w języku litewskim i dostępnymi świątobliwymi gazetami; żadnych elementarzy w języku litewskim oczywiście nie było. Wśród grupki dzieci (6–10 osób) trafiał się i już całkiem dorosły młodzieniec, który pragnął nauczyć się litewskiego przed wyjazdem do Ameryki, aby uniknąć obowiązkowej służby wojskowej w carskiej armii trwającej wtedy dwadzieścia lat. A w Ameryce trzeba będzie napisać list do swoich po litewsku, a także umieć coś przeczytać. Uczyliśmy się pilnie w atmosferze pełnej konspiracji, bowiem mogli nieoczekiwanie przyjść rosyjscy żandarmi i zamknąć wszystkich do ciupy, jak straszyl ojciec. Teraz wiem, że to było straszenie na wyrost, niemniej ojciec miałby na pewno duże kłopoty, chociaż w tym czasie, jak sobie przypominam, już zniesiono zakaz drukowania w języku litewskim, lecz co innego druk, a co innego nielegalna szkołka. Nauka w szkole ojca trwała dwa zimowe sezony, w tym czasie można było znośnie opanować umiejętność czytania i pisania w języku litewskim.

Szkołę podstawową litewsko-rosyjską ukończyłem latem 1914 roku. Świadectwo ukończenia odebrałem

Б
TRUDNY START. EDUKACJA



Pierwsza fotografia dziewiętnastoletniego
Józefa Markuzy, Kowno

w Słowikach tego dnia, kiedy przeprowadzono mobilizację mężczyzn do carskiej armii. Wśród nich był także mój były nauczyciel. Na moją gorącą prośbę wydał mi świadectwo w języku rosyjskim, które przechowałem do dziś. Pożegnałem się z nauczycielem, którego nigdy więcej nie spotkałem. Szkoła jest zawsze pierwszym etapem w życiu młodego człowieka. Ten etap dla mnie nie był łatwy ani przyjemny. Codziennie musiałem iść piechotą cztery kilometry. Pół biedy wiosną czy latem, ale zimą, kiedy był mróz i śnieżyca, droga ciągnęła się w nieskończoność. W pierwszym roku nauki przeżyłem nie lada szok – w szkole wybuchł pożar. Było to jesienią. Dzieci zebrane już w klasie czekały na nauczyciela i początek lekcji, gdy przez drzwi od korytarza zaczął sączyć się dym i ktoś z zewnątrz krzyknął „pali się!”. Ten okrzyk wywołał panikę, wszyscy zaczęli chwytać książki i kurtki, a dym już zaczął nas dusić. Szczęśliwie udało mi się zgarnąć książki, chwycić palto i przepychając się, wybiec na powietrze. Czym prędzej pobiegłem do domu i zachłystując się i kaszląc, zdołałem opowiedzieć rodzicom, co się stało.

Nauka została na jakiś czas zawieszona, a klasy przeniesione do innego budynku. Zmieniono też na-

uczyciela. Teraz uczył nas młody, postawny mężczyzna, dobrze mówiący po litewsku. Lekcje były prowadzone w języku litewskim, a rosyjski wykładano codziennie po dwie godziny. Uczniowie musieli wykuć biegle na pamięć imiona i daty urodzenia całej carskiej rodziny, aby przy odpytywaniu nigdy się nie zająknąć. W szkole były też lekcje religii. Prowadził je miejscowy ksiądz proboszcz.

Lata szkolne przeleciały dość szybko, jakoś zdałem końcowy egzamin, niedługo po tym zaczęła się I wojna światowa.

WOJNA

Co znaczy słowo wojna i czym ona jest w moim ówczesnym środowisku, nikt nie wiedział. W szkole uczyliśmy się wprawdzie historii i wiedzieliśmy, że Rzymianie pokonali wiele narodów i utworzyli potężne imperium, ale jak to zrobili, jak wojowali i gdzie, nie zastanawialiśmy się. Nie mogliśmy sobie wyobrazić, że mogą być palone domy i całe gospodarstwa, płony na polach i w stodołach. Na samym początku wojny nic w naszym życiu nie uległo zmianie, cho-



Józef Markuza (z lewej)
podczas służby w armii litewskiej

ciaż moja ojcowizna leżała tuż przy granicy – rzeka Szeszupa dzieliła Rosję od Niemiec. Ludzie pracowali w polu, dzieci bawiły się jak za dawnych, przedwojennych czasów.

Pewnego ranka przybiegł zadyszany sąsiad z wiadomością, że od strony Słowików zbliża się konnica i zmierza w naszą stronę. Gospodarstwo moich rodziców leżało przy drodze prowadzącej do miasta Szakiai. Cała rodzina wyległa na podwórze, aby przyjrzeć się konnicy. Wiedzieliśmy, że rosyjska straż graniczna była już wycofana i koszary, gdzie mieszkali żołnierze, stały puste. Wkrótce nadjechał mały konny oddział, pierwsi żołnierze niemieccy, których zobaczyliśmy. Byli to piękni mężczyźni na dorodnych koniach, w niewidzianych dotąd mundurach, na głowach mieli lśniące, czarne hełmy z wieżyczkami, na plecach wisiały karabiny, a przy bokach, przytrzymywane rękami, sterczały piki. Wyglądali bardzo dostojnie i uroczyście. Oddział zatrzymał się przy naszej zagrodzie, a jeden z Niemców zwrócił się do nas w nieznanym języku; zdaje się, że o coś pytał. Ponieważ nic nie zrozumieliśmy, więc i nic nie odpowiedzieliśmy. Z czasem, kiedy wojna rozprzestrzeniła się, z niektórych zasłyszanych słów doszliśmy do wniosku, że Niemiec sta-

rał się dogadać z nami po polsku; na pewno to nie był niemiecki, bo przecież poszczególne słowa niemieckie byśmy rozumieli.

To pierwsze spotkanie z niemieckimi żołnierzami wypadło dobrze, doszliśmy do wniosku, że nie ma powodu, aby ich się bać. Niestety dopiero znacznie później poznaliśmy ich cechy dokładniej.

Po tym wydarzeniu sąsiedzi zaczęli politykować:

– Ruskie się wystraszyli, uciekli, więcej ich nie zobaczymy, teraz trzeba uczyć się niemieckiego.

– Nie ma co się spieszyć, sąsiedzie. Rosyjskie imperium silne, jeszcze zobaczycie, co będzie, na razie to sam początek.

Istotnie, był to tylko oddział zwiadowczy, później wszystkimi drogami posypały się oddziały wojska i zagłębiały się w kraj. Ale tym razem Niemcy nie padowali tu długo, wojska rosyjskie szybko poradziły sobie z wypchnięciem Niemców w kierunku Prus Wschodnich. Kiedy już podchodziły do Królewca, wojska niemieckie dowodzone przez marszałka Hindenburga przełamały front i prawie całkowicie zdruzgotały siły rosyjskiego frontu wschodniego. Wtedy już drugi raz przyszli Niemcy i pozostaliśmy pod ich okupacją aż do zakończenia wojny.

Okupant prowadził wobec litewskich włościan politykę rabunkową i wyniszczającą. Nałożył obowiązek oddawania niemieckiej władzy ogromnych danin zboża, mięsa, masła, wełny i lnu, prócz tego Niemiec żołnierze urządzali sobie w poszczególnych wsiach prywatne rabunkowe wycieczki. Uzbrojeni żołnierze na wozach zaprzężonych w konie zajeżdżali na podwórze i żądali oddania daniny. Kiedy gospodarz tłumaczył, że już oddał co należy, i pokazywał kwity, szli sami rewidować spizarnie i schowki, zabierając, co im się podobało.

Raz widziałem jedną nieudaną próbę grabieży. Fura zaprzężona w dwa konie (jeden z nich był bardzo chudy i chyba chory) stanęła za naszym polem, a na drugim polu, tuż obok, kobieta bronowała lekko, chodząc za zaprzęgiem. Jej koń był młody i dobrze utrzymany. Niemiec wyprzągnął chorowitego konia i poszedł z nim na pole kobiety. Domyśliłem się, jaki był cel tej roszady – zamienić chudego na dobrze utrzymanego konia. Kobieta też się domyśliła, ale udawała, że nie wie, o co Niemcowi chodzi. Lecz kiedy ten chciał wyprząc jej konia – smagnęła Niemca batem po głowie, a potem waliła gdzie popadło. Napastnik spieszenie się wycofał i razem z chudą szkapą wrócił

do wozu. Siedzący na wozie żołnierze głośno rechotali. Sądzę, że podczas drugiej wojny podobne zajście nie skończyłoby się tak dobrze.

Życie stawało się z każdym dniem coraz cięższe. Gospodarstwa ogołocoło z bydła, trzody chlewnej i koni. Nie było jak uprawiać pól, nie było co siał, brakowało ziarna. Muszę jednak przyznać, że okupacyjna administracja działała sprawnie. Zorganizowano szkołę dla dzieci i młodzieży, oczywiście niemiecką, a ponieważ innej nie było, zacząłem do niej chodzić. W ten sposób zacząłem swoją niemiecką edukację. Prócz lekcji w języku niemieckim uczyliśmy się też śpiewać po niemiecku. Naszym nauczycielem był pastor ewangelicki.

Przyszła pamiętna, najcięższa dla nas wiosna 1917 roku. Wiele ludzi nie miało co jeść. Nie było chleba, bo nie było go z czego piec. Jeżeli ktoś miał jeszcze garść zboża, mełł ją na żarnach w domu, ponieważ młyny były pod niemieckim nadzorem. Chleb wypiekano z resztek mąki z dodatkiem trocin, ziemniaków i siewienia lnianego. Było to paskudztwo! Od takiego jedzenia zaczęły się przeróżne choroby, pokazała się krwawa dyzenteria. W tych fatalnych nastrojach zbli-

II NIEPODLEGŁOŚĆ

żał się koniec wojny. Pojedynczo wracali mężczyźni zmobilizowani przed laty do carskiej armii. Przynieśli pierwsze pogłoski o możliwości utworzenia niepodległej Litwy, lecz nikt nie wiedział, kto miałby to zrobić. Po cichu szeptano, że wszechwładny car został pozbawiony tronu. Takie wiadomości przekazywano sobie z ust do ust, żadna bardziej wiarygodna informacja nie docierała na daleką litewską wieś.

NIEPODLEGŁOŚĆ

Było lato 1918 roku. Na płotach i przed kościołem rozlepiono odezwy do narodu mniej więcej tej treści: „Powstało niepodległe państwo – Litwa”. Nieco mniejszymi literami zachęcano młodych mężczyzn, aby jako ochotnicy wstępowali do organizowanego litewskiego wojska. Dziwiono się powszechnie, ponieważ nikt nie wiedział, gdzie jest ta niepodległa Litwa, bo w naszej gminie cała władza była w rękach niemieckich żandarmów. Prawda, coś się jednak zmieniło. Nasz niedaleki sąsiad, Barsztajtis, młody mężczyzna, który niedawno powrócił z carskiej ar-

mii, już parę razy przeszedł koło naszego obejścia ubrany w szary szynel, z trójkolorową wstęgą na rękawie, uzbrojony w rosyjski karabin. Mówił, że jest funkcjonariuszem policji w Słowikach, nikt jednak nie wiedział, jaką pełnił tam funkcję.

W naszej wsi najwyższą władzą był zawsze sołtys. Ale w zaistniałej sytuacji nawet on nie wiedział, kogo słuchać. Niemcy nadal czuli się panami sytuacji i nie zamierzali opuścić Litwy. Dworami pozbawionymi właścicieli zarządzali wyznaczeni przez Niemców ekonomowie, pola były orane i obsiewane. Widocznie zarządcy spodziewali się, że zbiory też będą do nich należeć w myśl przysłowia – kto sieje, ten zbiera. Taka niejasna sytuacja ciągnęła się do 1919 roku.

Pewnego dnia przeczytałem ogłoszenie na słupie zawiadamiające, że rodzące się nowe niepodległe państwo potrzebuje ludzi wykształconych, różnorodnych specjalistów i urzędników. W celu ich przygotowania organizowane są kursy w Kownie. Wymieniono takie dziedziny:

komunikacja – pracownicy poczty i telegrafu, kolejarze;

ekonomia – buchalterzy, pracownicy biurowi.

B NIEPODLEGŁOŚĆ

W domu mieliśmy poważną naradę. Mój starszy brat, Szymon, już uczęszczał na kurs nauczycieli szkół podstawowych, więc postanowiono, że i ja powinienem spróbować dostać się na któryś z wymienionych kursów w Kownie. W ogłoszeniu była adnotacja, że kandydaci będą przyjmowani po zdaniu odpowiednich egzaminów.

W płóciennym woreczku podróżnym miałem zmianę bielizny, bochenek chleba, dwa jajka na twardo, ćwierć polcia słoniny i zawinięty w skrawek gazety kawałek szarego mydła. Do kieszeni, gdzie miałem trochę moich pieniędzy zarobionych na koszeniu siana, tata włożył parę banknotów „ostmarek”. Tak wyglądał mój bagaż siedemnastolatka wyruszającego na podbój Kowna. Nigdy nie byłem w większym mieście, nigdzie poza nasze miasteczko gminne nie wyjeżdżałem, byłem zwykłym, gapowatym wiejskim chłopakiem.

Do Kowna z naszej wsi można było się dostać na dwa sposoby: koleją Wyłkowysk–Kowno lub parostatkiem płynącym Niemnem na trasie Jurbarkas–Kowno. Ojciec zawiózł mnie furmanką nad rzekę – wysadził na przystani parostatku, przeżegnał i uściśnął dłoń, pierwszy raz jak mężczyźnie.

4
JÓZEF MARKUZA I BIRUTA MARKUZA • SKĄD LITWINI WRACALI



Dom rodzinny we wsi Juškakaimis.
Józef z rodzicami i siostrą Martą, rok 1922

BEZ DOMU

Kowno było w owym czasie niewielkim, biednym miastem liczącym około dwudziestu tysięcy mieszkańców. Chłopakowi takiemu jak ja, który w życiu nie widział żadnego miasta, wydawało się wielkie i budziło niepokój potęgowany faktem, że nie miałem dokąd pójść ani gdzie się zatrzymać. Młodość i wiara w siebie zawsze były podwalinami sukcesu.

Wysiadłem z parostatku wczesnym popołudniem i szedłem, rozglądając się, przez plac Ratuszowy. Dostałem do katedry, na prawo biegła ulica Wileńska, prosto – ulica Valančiusa. Sam nie wiem dlaczego wybrałem ulicę na wprost, może to był tzw. szósty zmysł, który bardzo mi pomógł w stawianiu pierwszych kroków w Kownie.

Jeszcze przed wybuchem wojny przyjechał do nas mój wuj Juszkajtis, brat matki. Mieszkał wtedy w Kownie i miał się wszelkich zawodów i zajęć. Był introligatorem, konduktorem kolejowym, lokajem u biskupa. Jego adres ciągle się zmieniał, więc go nigdy nikomu nie podawał. Słabo go pamiętałem, jak przez mgłę, ale teraz bardzo się zdziwiłem, gdy zobaczyłem

wuja stojącego w uchylonych drzwiach małego warsztatu szewskiego. Podeszedłem, powiedziałem, kim jestem i skąd przybywam, wuj też był bardzo zdziwiony, zaczął wypytywać o matkę i innych krewnych. Oczywiście zaprosił mnie na nocleg i zaproponował, żebym zamieszkał u niego, póki czegoś lepszego nie znajdę.

Wuj był niebywałym dziwakiem. Całe życie mieszkał sam, nigdy się nie ożenił, z krewnymi nie utrzymywał żadnych kontaktów. Był niezwykle pobożny, codziennie chodził do kościoła, dużo się modlił po polsku, chociaż nie znał polskiego języka. Żył bardzo skromnie, można powiedzieć ascetycznie, choć był dość zamożny. Dużo dawał na kościół, wspomagał biednych i żebraków. Warsztacik szewski nabył tylko po to, aby dać pracę młodemu Polakowi, który po wyuczeniu zawodu szewskiego nie mógł znaleźć pracy. Wuj był właścicielem warsztatu, a Polak prowadził działalność usługową i był kierownikiem sklepiku z butami. Obaj codziennie chodzili do kościoła, najczęściej na ranne nabożeństwo, a jeśli z jakichkolwiek powodów było to niemożliwe, szli wieczorem lub modlili się w domu. W tym czasie wuj pracował jako konduktor na kolei i jeździł na trasie Kowno–Ryga. Czasem nie wracał do domu przez kilka dni.

Odkąd znalazłem tani pokój i zamieszkałem w pewnej odległości od mieszkania wuja, odwiedzałem go dość rzadko. Gdy przyszedłem pewnego dnia, nie zastałem go w domu. Warsztat szewski też był zamknięty. Od sąsiadów dowiedziałem się, że kiedy wuj wyjechał na parę dni do pracy, młody szewc zlikwidował warsztat i sklepik, buty, przybory i materiały sprzedał, pieniądze ze sprzedaży przywłaszczył sobie i wyjechał do Wilna.

Wilno i ziemie wileńskie w tych latach były jakby ziemią niczyją. Najpierw pod władzą bolszewików, później na krótko Litwinów, wreszcie, po złamaniu warunków umowy dwustronnej, w 1920 roku generał Żeligowski przyłączył je do Polski. Na tych terenach były dobre warunki do zniknięcia i ukrywania się przestępców.

Pierwszy mój zawód i praca były dziełem przypadku. Przeglądając gazety, znalazłem ogłoszenie o naborze na kurs łączności – obsługa poczty, telefonów i telegrafu. Podany był termin i miejsce, gdzie kandydaci mają się zgłosić na wstępne egzaminy. Komisja egzaminacyjna nie chciała pozwolić mi zdawać, ponieważ nie ukończyłem osiemnastu lat. Dopiero ostatniego dnia,

gdy okazało się, że nie ma wielu kandydatów, pozwolono mi przystąpić do egzaminu, który zdałem dobrze i zostałem przyjęty na kurs. Po pomyślnie zdanym egzaminie końcowym musiałem odbyć praktykę, po niej już mogłem się uważać za urzędnika łączności.

Praktyka wyglądała tak jak normalna praca. Nie miałem tylko ustalonego wynagrodzenia, a czas pracy był nienormowany. Praktykę odbywałem w Kownie na stacji telegrafu i telefonów, byli tam zatrudnieni mężczyźni różnych narodowości: Rosjanie, Niemcy, Litwini i Polacy. Ci Niemcy byli przedtem żołnierzami w wojskowej służbie łączności, Rosjanie to przedwojenni pracownicy tej branży. Mimo złożonego składu personalnego kontakty między nami były dobre, koleżeńskie. Dopiero później, kiedy do pracy przyszło więcej młodych Litwinów, stosunki zaczęły się psuć. Chociaż od dawna obowiązywał język litewski jako urzędowy, nie przestrzegano tej zasady restrykcyjnie. Wszyscy pracujący mówili dobrze po rosyjsku i chętnie używali tego języka. Przyszedł jednak czas, kiedy stanowczo zaczęto żądać, aby każdy urzędnik mówił po litewsku. Stosunki w pracy zepsuły się. Rosjanie i Niemcy byli znacznie starsi od Litwinów, język litewski

przychodził im z trudem, więc po jakimś czasie odeszli.

Kiedy uczęszczałem na kurs, a także w czasie praktyki, musiałem gdzieś mieszkać i coś jeść. Pieniądzy miałem bardzo mało, znikąd żadnej pomocy, warunki życia były ciężkie. Podczas kursu mieszkaliśmy po dwóch lub nawet czterech w pokoju, aby było taniej, czasem któryś z nas dostawał z domu przesyłkę z jedzeniem, dzieliliśmy się wszyscy, ale to były sporadyczne zdarzenia. Szukaliśmy możliwości zarobku, najczęściej i najłatwiej można było nająć się do piłowania i rąbania drewna, ponieważ wszystkie mieszkania były opalane drewnem. Następną możliwość zarobku była przy wyładunku i załadunku wszelkich towarów na dworcach. Jakiś czas mieszkaliśmy w pobliżu koszar. Po wyjściu Niemców koszary zajmowali litewscy ochotnicy. Często dostawaliśmy od nich kociołek zupy, o ile coś zostało z posiłku żołnierzy.

Jednak nie samym chlebem człowiek żyje. Byliśmy młodzi i szukaliśmy też rozrywek. W miejskim parku przy alei Wolności był teatr, co prawda nieczynny, ale w dużej altanie, przylegającej do budynku teatru, dawała koncerty orkiestra dęta. Za wejście do parku trzeba było płacić. Znaleźliśmy wyjście: w ciemnym

rogu na ulicy Kiejstuta można było przeskoczyć płot, okrążyć budynek teatru i dostać się do parku, gdzie grała orkiestra. Ścieżkami spacerowali ludzie, można było posiedzieć na ławce, pogapić się na spacerujących i na co ładniejsze dziewczyny. Kina już wtedy działały, lecz dla nas były za drogie.

Z czasem powstał i teatr, odbywały się w nim spektakle „latającego teatru Wajczkusa” – jak sama nazwa wskazuje, nie był to teatr stały. Dopiero zaczęło się mówić o prawdziwym teatrze i operze, w której miał występować światowej sławy tenor Kipras Petrauskas. Bardzo powoli rodziło się kulturalne życie Litwy.

Polityka dla mnie wtedy nie istniała. Miałem swoje kłopoty związane głównie z brakiem pieniędzy, myślałem przede wszystkim, jak je zarobić. Jednak niespodziewanie polityka sama przysłała do mnie, i to w czasie godzin mojej pracy.

Litwa doczekała się wreszcie, po raz pierwszy, uznania de facto ze strony innych państw, nieco później nastąpiło też i uznanie de jure. Cieszyłem się wraz z kolegami z tych decyzji międzynarodowej dyplomacji, nie bardzo rozumiejąc ich znaczenia. Przygotowania do pierwszych wyborów do sejmu szły pełną parą,



Józef z kuzynem Piotrem grają w krokieta
przed chatą Markuzów w Juškakaimis

widoczna była aktywność różnych partii politycznych. Ministerstwo Spraw Zagranicznych miało ręce pełne roboty, o czym mogłem się przekonać wielokrotnie na własne oczy. Często widziałem dyplomatów w Urzędzie Telegrafu, gdyż w owym czasie telefon nie był wiarygodnym środkiem łączności, szczególnie z krajami, w których już działały nasze przedstawicielstwa. W pilnych, nieznoszących zwłoki sprawach używano aparatu Juzo, który od razu drukował na pasku papieru słowa czcionką łacińską. Do przekazywania dyplomatycznych zleceń wyznaczano doświadczonych pracowników umiejętnie operujących tym aparatem. Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych przychodził najczęściej pan A. Balutis, czasem bywał sam minister pan J. Pureckis. Prowadzili za pomocą Juzo rozmowy z przedstawicielami w Moskwie, Berlinie i w innych krajach. Z czasem i ja nauczyłem się biegle pracować na tym aparacie i wiele razy wysyłałem korespondencję dyplomatyczną. Pracownicy telegrafu składali zobowiązanie, przysięgę zachowania w absolutnej tajemnicy wszystkiego, czego dowiedzieli się podczas pracy.

W 1920 roku Litwa już miała pewną, choć niewielką, siłę wojskową, jej podstawę stanowili ochotnicy.